

Hasła Rewolucji Francuskiej...

27 sierpnia 2011

... a stosunek Zachodu do Trzeciego Świata.

Po upływie ponad 200 lat od Rewolucji Francuskiej warto zastanowić się nad tym co współcześnie oznaczają hasła rewolucji: wolność, równość, braterstwo. Zwłaszcza w kontekście relacji pomiędzy światem rozwiniętym a rozwijającym się.

W ostatnich latach w kręgach uznawanych, głównie przez samych siebie, za intelektualne modna stała się dyskusja na temat konfliktu między cywilizacją zachodnią a orientalną. Zapoczątkował ją w 1993 r. amerykański politolog Samuel Huntington artykułem pt. „Zderzenie cywilizacji?” („The Clash of Civilizations?”) opublikowanym w czasopiśmie „Foreign Affairs”. Podążający konfliktowym tokiem myślenia dyskutanci starają się wykazać wyższość kultury cywilizacyjnej świata zachodniego nad kulturą cywilizacyjną Azji i Afryki. Szczególny nacisk położony jest na usiłowanie wykazania wyższości cywilizacji tzw. judeo-chrześcijańskiej nad muzułmańską. Niekiedy używany jest też termin cywilizacja śródziemnomorska, co jest o tyle bez sensu, gdyż do tejże cywilizacji zaliczana jest np. leżąca nad Morzem Północnym Norwegia a nie autentycznie śródziemnomorska Libia.

Takie podejście do stosunków Europy z innymi kontynentami ma swoje prażródła w wyprawach krzyżowych i późniejszej kolonizacji terytoriów pozaeuropejskich. Genetyczne poczucie wyższości cywilizacyjnej, a faktycznie rasowej, okazało się zatem niezwykle trwałe.

Skutkiem kolonializmu był napływ emigrantów z byłych kolonii do Europy. W okresie prosperity lat 1960. i 1970. przybysze z krajów Azji i Afryki byli mile widzianymi gośćmi skłonniymi za stosunkowo skromną opłatą wypełniać niedobór siły roboczej –

zwłaszcza w wykonywaniu tych zajęć, których niechętnie podejmowali się Europejczycy. Sytuacja zmieniła się wraz ze zmianą koniunktury. Kiedy pojawiło się bezrobocie, okazało się, że Azjaci i Afrykanie odbierają pracę rdzennym Europejczykom. Ekonomiczne poczucie zagrożenia wraz z niezrozumieniem i brakiem akceptacji dla innych kultur umocniło postawy rasistowskie. Podniósł głowę ukryty do tej pory pod parasolem tolerancji tradycyjny, zadufany w sobie, konserwatywny europejski kołtun. Ten sam, który przekonany jest o wyższości białej rasy. Ten sam, który uważa, że ludziom pochodzącym z innych kontynentów należy się zamiast szacunku i zrozumienia co najwyżej protekcyjna pobłażliwość. Odnosi się to zwłaszcza do przybyszów z krajów arabskich, których muzułmańska kultura uważana jest za nie nadążająca za rozwojem światłej myśli białego człowieka.

Nacjonalistyczni ksenofobi nie mogą żyć bez wroga. W sytuacji, gdy Żydzi zostali wymordowani podczas holocaustu, wyjechali do Izraela bądź zasymilowali się z europejskim otoczeniem, antysemityzm wypierany jest przez antyislamizm. Sprzyja temu również lansowany przez mass media obraz Araba-terrorysty kształtowany na podstawie poczynań ekstremistycznej arabskiej mniejszości. Muzułmanin to Arab, a Arab to terrorysta podkładający bomby lub wysadzający się w powietrze w imię Allacha. Takie prymitywne podejście nie jest na szczęście dominujące wśród Europejczyków, jednak istnieje jako zjawisko kulturowe i polityczne, które nie słabnie, lecz wręcz się nasila.

Europejczycy i ich amerykańscy potomkowie szczycą się dziedzictwem Rewolucji Francuskiej z jej hasłami: wolność, równość, braterstwo. Tymczasem hasła te zostały zaadaptowane, często zresztą w ograniczonym zakresie, jedynie w układach społecznych państw Zachodu. Nie mają jednak bezpośredniego odniesienia w stosunku do Trzeciego Świata. A jeżeli mają, to przybierają one postać protekcyjnego narzucania zachodnich standardów, traktowanych jako jedyne i uniwersalne. Widoczne

jest to ostatnio na przykładzie rewolucyjnej fali w krajach arabskich. Z buntujących się przeciwko autorytarnym rządów w imię wolności, równości i braterstwa zachodnie mocarstwa starają się za pomocą strumienia dolarów uczynić swoich popleczników, dbających o ich ekonomiczne i polityczne interesy. Czyż narody, które poderwały się do działania, nie mogą wziąć swego losu we własne ręce bez tego, by ktoś obcy wskazywał im drogę i mieszał się w ich sprawy? – pyta ekonomista i historyk Bliskiego Wschodu Georges Corm w artykule pt. „Odnaleziona arabska jedność” („Le Monde Diplomatique – edycja polska”, kwiecień 2011).

Stosunek świata rozwiniętego do rozwijającego się daleki jest od szczytnych haseł Rewolucji Francuskiej. Wolność, jak w przypadku Iraku czy Afganistanu, narzucana jest drogą militarnych interwencji. Ostatnio mówi się o wolności spadającej na Libię wraz z bombami NATO. Bez nalotów NATO nie byłoby Wolnej Libii – skomentował 22 sierpnia dziennikarz polskiej telewizji. Ponadto wypracowane w Europie standardy demokracji przedstawicielskiej nie zawsze sprawdzają się w krajach o innych tradycjach kulturowych. Podczas wyborów parlamentarnych czy prezydenckich w niektórych krajach afrykańskich wyborcy preferują kandydatów wywodzących się z ich plemienia, a nie tych, którzy oferują lepsze propozycje programowe. Zwłaszcza, że niemal wszystkie partie i wszyscy kandydaci obiecują rozwój i powszechny dobrobyt. Silne struktury plemienne funkcjonują również w Afganistanie. Skutek jest taki, że prezydent, rząd i parlament może sobie sprawować władzę w stolicy, podczas, gdy w pozostałej części kraju rządzi starszyzna plemienna. Podobne zjawisko można także zaobserwować w Jemenie, gdzie pozycja obecnego prezydenta uległa zachwianiu w momencie, gdy stracił on poparcie plemiennych przywódców. Również lansowane przez Zachód standardy w dziedzinie praw człowieka, a ściślej rzecz ujmując praw obywatelskich, nie mają takiego ciężaru gatunkowego w krajach najbiedniejszych, gdzie dla milionów ludzi ważniejszy od wolności prasy i swobody tworzenia partii politycznych jest

problem jak przeżyć kolejny dzień za równowartość jednego dolara.

W sferze stosunków gospodarczych równość zastępuje schizofreniczne podejście w stylu kija i marchewki. Z jednej strony świat zachodni udziela preferencji celnych krajom najmniej rozwiniętym (LDC – least developed countries), z drugiej zaś, w imię idei wolnego handlu, stara się wymusić na nich obniżkę stawek celnych. Tymczasem w krajach rozwijających się cła nie tylko chronią rodzimą produkcję przed zagraniczną konkurencją, lecz także stanowią istotne źródło dochodów budżetowych, np. w przypadku karaibskiego państwa Antigua i Barbudy jest to ponad 50 proc. Międzynarodowy Fundusz Walutowy narzuca krajom rozwijającym się neoliberalne rozwiązania bez względu na lokalne warunki, co prowadzi do ograniczenia wydatków na cele socjalne a tym samym do dalszego zubożenia miejscowej ludności. Tak zwana pomoc rozwojowa okazuje się nieskuteczna, skoro od lat utrzymują się drastyczne różnice w poziomie życia świata bogatego i biednego. Według danych SIPRI z 2009 r., 80 proc. światowego bogactwa znajdowało się w rękach 20 proc. światowej populacji, a wartość majątku siedmiu najbogatszych ludzi na świecie była porównywalna z poziomem rocznego PKB 41 najbiedniejszych państw.

Również pojęcie braterstwa wypadło z politycznego i medialnego obiegu. Mówi się jedynie o solidaryzmie i to głównie w kontekście dystrybucji funduszy europejskich. Natomiast tzw. solidarność z krajami ubogimi przejawia się z reguły w postaci doraźnej pomocy charytatywnej w przypadku klęski głodu, jak ostatnio w Somalii. Jednakże równolegle z wypowiedzianiem frazesów na temat konieczności udzielania pomocy humanitarnej głodującym Afrykańczykom, rządy państw zachodnich udzielają hojnych subwencji dla własnego rolnictwa z którym nie jest w stanie konkurować pozbawiona olbrzymich dotacji produkcja żywnościowa krajów Trzeciego Świata.

Globalny układ geopolityczny utrwała zatem układ światowych nierówności a hasła Rewolucji Francuskiej mają głównie

charakter propagandowych sloganów. O ile w ogóle ktoś je jeszcze pamięta.

Autor: Bolesław K. Jaszczuk

Źródło: [Lewica](#)